
MŁODY GEOGRAF
Maho • N:1
Rys W. WALCZAK. VB

MŁODY GEOGRAF

DWUMIESIĘCZNIK KOŁA KRAJOZNAWCZEGO IM. PROF. LUDOMIRA SAWICKIEGO, UCZNIÓW PAŃSTWOWEGO GIMNAZJUM IM. KRÓLA STANISŁ. LESZCZYŃSKIEGO W JAŚLE.

Zeszyt 14. Listopad — Grudzień 1934.

TREŚĆ:

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: JASŁO, PAŃSTWOWE GIMNAZJUM.

REDAKTOR: PROF. JÓZEF STAŚKO.

Czcionkami Zakładu Graficznego BRACI SKRUDLIK W JAŚLE — Targowica 9.

Hellada dzisiaj.

Z notatek robionych w czasie
podróży po Grecji w lecie 1934 r.

Port Pireus napchany okrętami posiada ruch o wiele większy niż Stambuł. Setki masztów i kominów okrętowych sterczy wśród ogromnych magazynów i kipiącego tłumu ludzi. Stosy owoców, warzyw, mięsa, chleba, a obok butle z winem i oliwą ciągną się na placach i ulicach napełnionych ciżbą ludzką, wrzawą i hałasem nieustannym.

Ateny dzisiaj mają miljon mieszkańców. Rozległe place i parki, szerokie aleje i bulwary, liczne skwery i kwietniki, wszystkie ulice asfaltowe i o gładkich chodnikach. Ruch tramwajowy i autobusowy olbrzymi. Wzdłuż głównych ulic wznoszą się obok siebie wspaniałe hotele, eleganckie sklepy i magazyny, liczne kawiarnie i restauracje nabite gośćmi zwłaszcza wieczorami. Różnobarwne reklamy błyszczą na niebie, oraz reflektorami oświetlone wodotryski i pomniki. Imponujące gmachy publiczne błyszczą marmurami śnieżysto-białe w cieniu palm i platanów.

Gęsto rozstawione kioski z gazetami i napojami chłodzącemi, otoczone wrzawą. Tu i tam szczątki dawnych Aten; w cieniu złocistych kolumn świątyni Zeusa Olimpijskiego na turystów napadają kwiecisto ubrane cyganki, kalecząc niemiłosiernie różnemi językami. U stóp Akropolisu każdego przybysza otacza rój sprzedawców pocztówek i albumów. Pod teatrem Djonizosa i u wejścia do Stadjonu długie rzędy figurek i wazoników imitujących starogreckie, a zwiedzającego nagabują setki głosów z prośbą o kupno.

Jezdnie do Faleronu i łazienek morskich ze sznurami tramwajów i autokarów, któremi ludność i liczni goście zagraniczni spieszą na plażę, zmęczeni upałem i chodzeniem. W falach zatoki Sarońskiej nikt nie zaznaje ochłody, trzeba koniecznie wlewać w siebie litrami różne soki i napoje z lodu. Muzyka gra po modnych hotelach, pensjonatach, restauracjach. Kelnerzy we frakach usługują publiczności. Poza filarami nowożytnych gmachów wzrok napotyka na nędznie odziane postacie biedaków o smutno patrzących dużych, czarnych oczach. Z łodzi rybackiej dopiero przybyłej z połowu wychodzą rybacy i sprzedają gościom w restauracji ostrygi, zaraz zjadane ze sokiem cytrynowym.

Droga Święta wiodąca z Aten do Eleusis to dziś asfalt pełen autobusów pędzących przez cały dzień tam i z powrotem. Wśród gajów oliwnych i pinjowych wznoszą się klasztory średniowieczne w Dafni i gdzieindziej, a piękne ich mozaiki ściągają całe wycieczki. Na nagiej ziemi bez spalonej kompletnie słońcem trawy w cieniu limb i karłowatych cyprysów leżą pokotem całe rodziny i śpią, a obok nich leżą opróżnione z jedzenia koszyki i butelki.

Przewodnik oprowadzający po ruinach starożytnego Eleusis mówi po niemiecku, a gospodarz kawiarni po angielsku. Szczątki kolumn i murów znajdują się na miejscu potężnej niegdyś świątyni Demetry, gdzie odbywały się przy świetle księżyca i pochodni tajemnicze obrzędy. Obok widnieje czeluść skalna, gdzie miał porwać do podziemia Pluto urodziwą Persefonę.

W dali widnieją czerwone skały Salaminy. Tu rozegrała się walna bitwa z Persami, których bogate okręty poszły na dno wąskiej cieśniny. Dzisiaj w przystani stoją liczne żaglowce i stateczki rybackie otoczone rojem nagich dzieciaków bawiących się w jaskrawem świetle słonecznem.

Ruchliwa flota grecka rozsypana jest pomiędzy Cykladami a Sporadami. Okręty nieduże, długie, bardzo żwawe.

Sześć godzin jazdy z Pireusu do Syry na statku „Mykale" to nieprzespana noc wśród wrzawy i krzyków licznych pasażerów. Hermupolis na Syrze, miasteczko o 25.000 mieszkańców, najważniejszy port na Cykladach, skąd wywozi się wino, oliwę i owoce, a przedewszystkiem lukumię, sławne słodycze greckie z miodu i migdałów. Z balkonu hotelowego podziwiać można cudowny i nigdzie dotąd niespotykany widok na miasto i port, na morze i góry dokoła. Nowy znajomy Grek mówiący po angielsku służy licznemi informacjami. Stara Syra wznosi się coraz to wyżej na skale, zachowana doskonale do dzisiaj jeszcze z czasów weneckich, kolonizowana przez Wenecjan w XIII wieku 585 schodów wiedzie na szczyt skały, gdzie sterczy potężny bastjon obronnego klasztoru. Po obu stronach schodów domy wykute poczęści wprost w skale wspinają się jedne nad drugiemi coraz wyżej i wyżej o dachach płaskich, a wszystkie białe jak śnieg. Ludzie starsi a także małe dzieci witają nas po francusku. Poza klasztorem na skałach baszty obronne, cmentarzyk i ścieżka wijąca się razem z drzewami figowemi hen na przełęcz pomiędzy dwie czarne góry. Na dnie przepaści domki i kościół — dzwonią dzwonki zawieszone na szyjach osiołków, nawołują się pasterze licznych trzód owiec na stromych zboczach czarnych gór.

Wieczory spędzone na Syrze można zaliczyć do bajecznych zjawisk. Jeszcze krwawa łuna zachodu na niebie, a tu już tysiączne światła błyszczą na portowym bulwarze. Z okrętów jasno oświetlonych schodzą do restauracyj na wybrzeżu pasażerowie, korzystając z przerwy w podróży. Liczne orkiestry grają. Zgiełk przy stolikach nieopisany. Tłumy przechadzają się. A o godz. 11 w nocy rozpoczyna się przedstawienie w pobliskim teatrze Apollina. Śpiewaczka przerywa grę i wypija szklankę lemoniady. Orkiestra rozmawia w czasie antraktu z publicznością. Sprzedają papierosy i wino na widowni. Po przed-

stawieniu o godzinie 2 w nocy przed teatrem otacza wychodzących tłum dzieciaków z ciastkami i orzechami.

Jazda okrętem „Zakyntos“ na Santorin. Służba hotelowa i kelnerzy podają nam ręce na pożegnanie. Jest godzina trzecia nad ranem. Życzą nam mnóstwo dobrych rzeczy. Na bulwarze ludzie popijają kawę lub wino, głośno rozmawiają i płaczą, żegnając swoich bliskich. Sklepy i kawiarnie pootwierane i pełne ruchu. Sprzedawcy owoców i lukumji kręcą się po pokładzie.

Porty na Paros, Noxos, os, Thenos to miejscowości ruchliwe, wrzaskliwe, hałaśliwe. Setki łodzi jaskrawo pomalowanych i wykładanych dywanikami na ławkach o ostrych dziobach z wyrzeźbionemi smokami otaczają przybyły okręt. Przekupnie zwinnie przebiegają wśród publiczności, dźwigając kosze ryb świeżych lub suszonych, owoców, ciastek, orzechów i innych przysmaków.

Santorin to dawna Thera. Wyspa wulkaniczna w kształcie rożka, rozbita na kilka części. Okręt staje zdala od przystani pod przepaścistą czarną skałą. Przybyłe łodzie chwytają walizki i pasażerów, którzy nawet nie wiedzą, jak prędko dostają się na ląd. Po schodach wysoko na skałę jedzie się na osiołku do miasta. 205 metrów w górę. W skale wykute schody biegną zygzakiem ponad przepaścią Poganiacze krzyczą, popychając ostro zakończonym kijem udo zwierzęcia strzygącego długiemi uszami. Na szczycie skały ponad przepaścią zawisło białe miasto — Phira. Dom nad domem o białych ścianach wmurowanych na sobie wśród czarnych, wulkanicznych skał. Każdy dach jest przymurówką dla wyżej położonego domu. Ulice to schody wąskie i ciasne, po których wspinają się osły i muły obładowane towarami.

Z góry Santorin widok niezrównany na wysepki wulkaniczne rozrzucone na środku ogromnego krateru wypełnionego morzem. Wzrok ginie na horyzoncie w kurzawie blasku słonecznego.

Wycieczka na osłach do ruin starożytnej Thery. Klasztor św. Eliasza na skale po drodze. Braciszkowie sami zamiatają i podlewają rośliny. Widok z murów na miasteczka i wioski aż po morze. Nizina aluwialna pokryta polami, bardzo urodzajna. W dali we mgle sterczą wyniośle góry skaliste — to Kreta o 120 km odległa. Obiad we wiosce Kamari u stóp skał. Poganiacz osłów podaje nam aligarję — orzeźwiający kwiat o ostrym zapachu zioła. Rodzina rybaka zajada obiad w grocie skalnej, ukrywszy się przed żarem słońca. Ułowił on rybę, którą teraz trzyma na sznurze we wodzie. Gramofon gra — a tam bieleją ruiny starej helleńskiej świątyni. Rybak wysyła do nas dziecko z winogronami w darze. Przewodnik podaje figi zerwane przed chwilą w drodze.

Nocą księżyc błyszczy zielonkawem światłem. Siedząc na dachu hotelu patrzymy na wulkan i morze. Blask księżyca kąpie się we falach zatoki. Oświetlony drobnemi żarówkami okręt w przystani wygląda stąd jak maleńka zabawka. Na niebie widać miljardy gwiazd. Byliśmy właśnie na zabawie we wsi. Oryginalna muzyka z fletów i tańce klasyczne, a przytem niezwykła gościnność i życzliwość względem obcego. Przechodząc obok wiatraku poruszającego wolno ogromnemi skrzydłami, wstępujemy do środka i tu gospodarz

pokazuje całe wewnętrzne urządzenie i częstuje winem gęstem i ciemnem jak smoła, a słodkiem jak miód.

Jazda łodzią do wulkanu to prawdziwa igraszka z falami. Dwie godziny mijają i docieramy do skał bazaltowych i tufów. Woda jak mleko biała i zupełnie gorąca. Biją tu jakieś źródła i rozpuszczają się jakieś minerały. Wijącą się ścieżka wśród pustkowi i czarnych głazów docieramy do żółtych od siarki lejków, gdzie ze szczelin wydobywają się dymy i gazy wulkaniczne.

Ludzie mieszkający na skałach i w skałach wydrążyli sobie jaskinie, wylepili gliną i dorobili drzwi. Do tych mieszkań idzie się schodami wykutemi w skale. Tak samo do ich ogródków znajdujących się na zboczach skalnych na dachach ich mieszkań. Kruche łodzie kołyszą się na wzburzonych falach. Ryby idą masami do sieci sprytnie nastawionych.

Widać wyraźnie na wyspie Therasji zygzakowatą drogę wspinającą się z portu do miasteczka.

Statek „Kimon" czeka na nas o 6 godzinie rano. Wracamy do Pireusu po kilkodniowym pobycie na wyśnionym, bajkowym Santorinie. Żegnają nas ludzie serdecznie i rzewnie — potomkowie dawnych Hellenów... Zwolna zasnuwa się wulkan mgłą i giną czarne skały w jasnej poświacie wschodzącego słońca. Czarowna wyspa znika z horyzontu...

C. d. n.

Józef Staśko.

Ropa naftowa w Polsce.

Dokończenie.

Jeżeli rafinerja znajduje się w bliskości szybu, to ropę przeprowadza się rurami. Ropę przewozi się do dalszych rafinerji, w specjalnych wagonach zwanych cysternami. Wspecjalnych fabrykach zw. rafinerjami oczyszcza się ropę przez destylację. Destylacja odbywa się w kotłach, połączonych przelewami. Coraz dalsze kotły ogrzewa się coraz silniej. Taka destylacja nazywa się ciągłą. W temp. 150^0 odchodzi „surowa benzyna", w temp. 150^0 — 300^0 „surowa nafta". Surową benzynę destyluje się w aparatach kolumnowych. Po tej destylacji otrzymuje się: benzynę lekką, benzynę ciężką i ligroinę. Surową naftę oczyszcza się kwasem siarkowym i wymywa wodą. Po oddestylowaniu surowej benzyny i nafty pozostaje „mazut", z którego otrzymuje się parafinę.

Kopalnictwo naftowe w Polsce ostatniemi laty stale upada. Największą produkcję ropy naftowej miał rok 1909, wydobyto wtepy 2,076.000 ton. Polska miała wtedy 5% ogólnej produkcji światowej. W roku 1913 produkcja spadła do 1,113.000 ton. Po wojnie w roku 1922 jeszcze bardziej spadła. Od roku 1922 — 1927 produkcja się poprawia. Potem znowu spada. Wtych latach latach polska produkcja wynosi 0·34% całej produkcji nafty.

Produkcja od roku 1922

Rok 1922	713.100 ton.	Rok 1926	796.000 ton.
„ 1923	737.200 „	„ 1627	777.300 „
„ 1924	770.800 „	„ 1928	743.000 „
„ 1925	811.900 „	„ 1929	674.470 „

Rok 1930 662.760 ton.

Okręg borysławski dostarcza przeszło 80%. Surową ropę przerabia się w 30 rafinerjach naftowych. Rafinerje zatrudniają 3.849 robotników. Rafineryjne przeróbki wywozi się zagranicę. Wydobywa się także gaz ziemny i wosk ziemny (ozokeryt), który w innych krajach z wyj. Niemiec jest nieznany. Wosk ma wielkie znaczenie dla eksportu polskiego, ponieważ jest tańszy od pszczelnego.

Wzdłuż całego Podkarpacia ciągną się złoża ropy naftowej. Na zachód sięgają do Tymbarku i Limanowej, a na wschód aż do Czeremoszu. Z tego pasa najwięcej obfitują w ropę: kotlina Krośnieńska, Borysław, Drohobycz Tustanowice i ich okolice. Znane są kopalnie ropy w górnym biegu Strwiążu i w okolicy Stanisławowa szczególnie w Bitkowie. W kotlinie Krośnieńskiej występują w okolicy Gorlic, Jasła, Krosna i Brzozowa. Wosk ziemny (ozokeryt) występuje zwykle wraz z ropą naftową. Największe kopalnie wosku ziemnego znajdują się w okolicach Borysławia, Wolanki, Truskawca i t. p. Głównemi ośrodkami przemysłu naftowego są miasta Borysław i Drohobycz.

Borysław leży w powiecie Drohobyckim, 100 km od Lwowa nad rzeką Tyśmienicą. Miasto ma 16.500 mieszkańców (9.618 Polaków i 7.170 Żydów), jest głównym ośrodkiem przemysłu i górnictwa naftowego w Polsce. Posiada 268 otworów wiertniczych. Wydobywa się tu także wosk ziemny (ozokeryt) i gaz ziemny. W Borysławiu są również rafinerje nafty i olejów mineralnych, fabryki świec parafinowych i narzędzi wiertniczych. Borysław jest jakgdyby miastem ruchomem, gdyż z posuwaniem się otworów wiertniczych posuwa się całe miasto. Panuje tu ciągły ruch i gwar.

Drohobycz, miasto powiatowe, leży w województwie lwowskiem, nad rzeką Tyśmienicą. Ma 26.736 mieszk. Drohobycz jest ważnym ośrodkiem przemysłu naftowego. Znajdują się tu rafinerje olejów mineralnych, odbenzyniarnia, fabryki świec, smarów, wyrobów metalowych, dachówek, cegielnie garbarnie, młyny, tartaki i wiele innych. Drohobycz zawdzięcza swój rozwój położeniu w zagłębiu naftowem.

Tak przedstawia się historja ropy naftowej i jej ośrodki w Polsce.

Marjan Nayda, Vb.

Wymieranie ludzi na wyspie Tanu.

Dla wyspy Tanu wybiła ostatnia godzina — ludność jej znajduje się obecnie przed wymarciem. W strasznej walce o życie i byt rasa ludzka upada pobita zupełnie przez samą przyrodę. Oto tragedja człowieka, który

zrozumiał, że jego przyszłość jest beznadziejna, że wszelkie plany, aspiracje i dążenia nie mogą się nadal utrzymać w obliczu zupełnej zagłady. I nie pomogą nic nowe dzieci zrodzone w ostatnich latach — naród Tanu musi zginąć, a z nim język jego, nazwa, religja, obyczaje...

Wyspa Tanu leży na oceanie Wielkim, gdzie natura z człowiekiem walczy na każdym kroku. Położona jest pod 157 stopniem długości geograficznej wsch. i pod 4 stopniem 50 minut szerokości geograficznej południ. Znajduje się o 180 km od najbliższej wyspy Buka, należącej do archipelagu Salomona. Różne wyprawy naukowe z Europy tu przedsiębrane celem zbadania ciekawego narodu Tanu stwierdzają przerażający jego zanik.

W roku 1884 żyło tylko 64 ludzi na Tanu, w roku 1885 obliczono już tylko 50 osób Obecnie zostało zaledwie 17 dusz, a mianowicie 6 mężczyzn, 6 kobiet, 5 małych chłopców. Uczony Parkinson na wybrzeżu wyspy widział wryte w piaski łodzie długości 15 metrów i na półtora metra głębokie, których dziś ludzie tamtejsi zepchnąć już nie zdołają na morze. A więc był czas, że było tu więcej ludzi, którzy potrafili zepchnąć łodzie na wodę a nawet mogli budować tak wielkie łodzie dla celów rybackich. Było to w r. 1885.

W 11 lat potem Parkinson znowu odwiedził wyspę Tanu i już wtedy w różnych czasopismach geograficznych ukazały się jego naukowe artykuły o zanikającym ludzie na dalekim oceanie. Dopiero od roku 1909 geografowie angielscy zainteresowali się tym ciekawym problemem. Dzisiaj jeszcze nie można dociec przyczyny wymierania ludności na wyspie Tanu.

Wyspa ta jest tak odosobniona i tak na uboczu, że niema mowy o jakichś zewnętrznych wpływach. Wymierają tam ludzie poprostu dlatego, że nie mają dopływu świeżej krwi. Stracili już energję życiową, cierpią na anemję rasową, są skazani na zagładę.

Tanu jest atolem. Wznosi się tylko kilka metrów ponad poziom morza. W słonych falach morskich zatapiają swoje korzenie smukłe palmy kokosowe. Poza wałem piaszczystym z trudem uprawia się pola ryżowe i kukurudziane. W skale koralowej kopie się dziurki, w które wkłada się zeschłe liście i skąpe odpadki od bydła i tak od wieków tworzy się ziemię pod uprawę. Na całej wyspie niema ani strumyka, ani źródełka nawet. Wszystko polega na deszczu. Wykopuje się cysterny i zalepia się je z wierzchu gliną i piaskiem koralowym, aby woda nie przeciekła przez porowate skały. W tych cysternach gromadzi się woda deszczowa, która spada z drzew i natychmiast chowa się ją przed wyparowaniem. Woda to słonawa i wstrętna dla języka białego człowieka. Wyspiarze lubią ją, lecz zwykle tak, jak wiele innych ludów Pacyfiku, używają morskiej wody do gotowania i nawet potrafią nią ugasić pragnienie. W swych podróżach używają morskiej wody w ilościach, które mogłyby białego człowieka doprowadzić do szaleństwa z pragnienia.

Jedynem mięsem, jakie jedzą, jest mięso ptaków. Wyspa jest mała, a potrzeby ludności są tak wielkie, że ptaki nie mają tu wcale swych gniazd. Strzela się tylko z łuków do przelatujących lub łapie się odpoczywające chwilowo na wysepce. Główne pożywienie czerpią wyspiarze z morza. Jedzą

wszystko, co żyje w morzu i w ich lagunie: ryby, kraby, trepang, jeżowce skorupiaki, rozgwiazdy i t. d.

Na zakończenie przytoczę tu jedną z pięknych legend wymierającego narodu Tanu:

Na początku świata żył na dnie morza Lolo, budując sobie koralową rafę aż do powierzchni morza. Gdy rafa dosięgła powierzchni, lecz jeszcze nie sterczała nad nią, nadjechała łódka ze Siwą. Zobaczył on głowę Lola sterczącą z piasku i uchwycił ją za włos, który kołysał się nad falami i pociągnął. Lolo zawołał na niego, by ciągnął mocno, a Siwa wydobył go w całości na światło dzienne. Wtedy Lolo prosił Siwę, by sobie odjechał, bo wyspa jeszcze nie gotowa, a on buduje ją tylko dla siebie. Kiedy rafa była już tak wysoka, że fale nie mogły więcej nad nią przelatywać, pokrył ją trawą i roślinami, krzewami i lasem gęstym a silnym.

Gdy już skończył swą robotę, naraz przybyła przez morze łódź wioząca trzech mężczyzn i jedną kobietę. Lolo, który już miał dwóch towarzyszy, Keni i Puapua, nie chciał wpuścić przybyszów na swą wyspę. Lecz obcy prosili i zaklinali, obiecując, że go nauczą wiele nowych rzeczy, które wzbogacą jego i jego wyspę. Wkońcu Lolo zgodził się i pozwolił im wejść. Ludzie w łodzi nazywali się Amelelago, Sapu i Kau, a kobieta Keruahine. Ich miejscem ojczystem była Makarama.

Przybysze spełnili swą obietnicę. Kau nauczył sztuki krzesania ognia z dwóch kijów, rzecz dotychczas nieznaną. Wskazał on też, jak gotować pożywienie na ogniu. Sapu przyniósł kokosy ze swej łodzi i zasadził je na wyspie, przez co stworzył obecne gaje tego drzewa. Amelelago przyniósł rośliny taro i razem z Keruahine zrobił pierwszą plantację taro.

Keruahine wprowadziła tatuowanie. Lolo wyciągnął się na macie a ona tatuowała go na wzór dzisiejszego tatuowania. Było ono wszędzie to samo i jeszcze dziś kobiety to czynią.

Amelelago podobnież pokazał sztukę tkania mat na ubranie mężczyzn i kobiet. Tkanie do dziś dlatego jest czynnością mężczyzn, tylko najwyższy wódz i jego krewni są wolni od wałka tkackiego.

Tyle legenda Osoby powyższe dziś uważane są za bóstwa, a Polinezyjczycy do nich się modlą. Co się stanie z niemi i z legendami, kiedy na wyspie Tanu nie będzie już ani jednego człowieka?

Kościół parafjalny w Jaśle.

Już w roku 1326 Jasło było osobną parafją i miało drewniany kościół. Kiedy później Węgrzy napadli na Polskę, nie pominęli też Jasła, a spaliwszy go, spalili i drewniany farafjalny kościół. Podówczas proboszczem w Jaśle był ks. Mikołaj herbu Ciołek Czelanthko, Kanonik przemyski i wraz z bratem swym Stanisławem doktorem dekretatów i scholastykiem sandomierskim,

wybudowali na gruzach drewnianego wyżej wspomnianego kościoła, obecny kościół murowany w roku 1459. Kościół jest długi na 34 m, w tem presbiterjum 14 m długie, a 8 m szerokie. Nawa jest długa na 19 m, szeroka zaś 13 m. Presbiterjum jest zamknięte połową sześcioboku i zasklepione pięknem sklepieniem w stylu gotyckim ze wspaniałemi żebrami, na których widnieje herb fundatora kościoła i zdaje się herby wspól-fundatorów. Tuż blizko wielkiego ołtarza, na wiązaniu żeber, w zworniku, jest imię Jezus (J. H. S) Na jednem żebrze po lewej stronie jest herb Ciołek, zaś na drugiem żebrze po prawej stronie jest w formie herbu data budowy kościoła rok 1459. Na drugiem wiązaniu, na żebrze po lewej stronie jest herb Pilawa, na żebrze po prawej stronie herb Strzemię, w środku zaś Królewski Orzeł Piastów i znowu na żebrze po lewej stronie herb Sreniawa, na żebrze po prawej herb Odyniec. Na trzeciem wiązaniu na żebrze po lewej stronie jest herb Jastrzębiec, na żebrze prawej herb Jelita. Następnie na środkowym zworniku, oraz na żebrze po jego lewej stronie i na żebrze po jego prawej stronie figuruje herb Odrowąż. Czwarte wiązanie ma tylko dwa żebra, gdyż już kończy się presbiterjum, i tu widnieją herb Topór na lewo i herb Półkozic na prawo, w środku zaś prześliczny herb zbiorowy przedstawiający: Półkozic, Gryf, Topór i Trąby. Po lewej stronie żebra spoczywają na ścianach kościoła rozety, zdaje się późniejszej roboty, gdyż są niezastosowane do gotyku. Po prawej zaś żebra spoczywają na podstawach ozdobionych herbami i tak: pierwsze żebra od ołtarza mają u podstawy herb Strzemię, drugie herb Gryf, trzecie herb Odrowąż, czwarte herb Jastrzębiec a w samym rogu na końcu presbiterjum herb Trąby. Otóż te herby stąd tu są umieszczone: *Ciołek, to herb wójtów jasielskich i fundatorów kościoła Cielątków. Odrowąż, to herb właścicieli wójtowstwa jasielskiego, Odrowążów, Skruźlowy. Jastrzębiec, to herb Pakoszów, właścicieli sołtysowstwa w Bryłach a później właścicieli Walowic. Gryf, te herb Turskiego, właściciela Niegłowic. Półkozic, to herb Wawrzyńca Krosza, właściciela Ulaszowic. Jelita był herbem również drugiej linji Odrowążów. Sreniawa, to herb albo Stadnickich ze Żmigrodu, albo Anny Pukarzewskiej, żony Prokopa Pieniążka, właściciela wójtowstwa w Jaśle. Pilawa to herb zapewne Kamienieckich, właścicieli niedalekiego Odrzykonia. Odyniec to herb Litwinki, nieznajomego nazwiska, która wyszła za Sreniawitę.

W presbiterjum jest pięć gotyckich okien, wtem trzy w połowie sześcioboku zamykającego presbiterjum są oszklone witrażami. Na pierwszym witrażu po lewej stronie kościoła jest u góry wyobrażony chrzest P. Jezusa w Jordanie, u dołu zdjęcie P. Jezusa z krzyża. Środkowe okno zasłonięte wielkim ołtarzem ma witraż złożony z okrągłych białych szkiełek z odcieniem lekko zielonym, u dołu zaś ma datę R. P. 1909. Prawy witraż u góry ma wyobrażenie zwiastowania Najświętszej Marji Panny, u dołu pokłon Trzech Króli. Dwa następne okna w ścianie południowej są zaszklone zwykłemi szybami i czekają na hojnych dobrodziejów, którzyby je oszklili witrażami. W presbiterjum w 1/3 ściany po lewej stronie jest wejście do zakrystji. Na końcu pres-

*)Wyjątek z dzieła ks. Sarny.

biterjum a początkiem nawy po lewej stronie jest ambona. Naprzeciw po prawej stronie jest starożytna marmurowa bardzo piękna chrzcielnica, a obok maleńkie drzwi prowadzące na strych nad któremi jest wyryte gotyckiemi literami „Maria". Jest to godło kościoła, bo kościół parafialny jasielki jest pod wezwaniem N. P. Marji Wniebowziętej. Po obu stronach ścian presbiterjum stoją bezwartościowe i bezstylowe stalle.

C. d. n.

Antoni Lewek, Vb.

Twierdza.

Jak głoszą legendy i podania, które łączą się również z założeniem Frysztaka, to obecna wieś Twierdza była niegdyś fortecą obronną na przejściu z północy na południe pomiędzy wysokiemi wzgórzami (n. p. Chełm 532), które spiętrzyły się w okolicach Frysztaka i między któremi biegnie ważna droga niemal nad brzegami rzeki Wisłok w kierunku na Krosno-Duklę.

Twierdza znajduje się o 15 km w kierunku półn.-wsch. od Jasła. Graniczy od wschodu z Kobylem, od południa z Widaczem, od zachodu z Glinikiem dolnym, od północy z Frysztakiem.

Pan Piętniewicz utrzymuje, że Twierdza w znaczeniu fortecy została założona po drugim napadzie Tatarów, celem bronienia ludności Frysztaka i okolicy od napadów nieprzyjaciół. Później Twierdza dostała się w posiadanie Mikołaja z Dąbrowicy Firleja, wojewody lubelskiego, a po nim odziedziczyli Twiardzę synowie jego. Od Firlejów nabyli Twierdzę małżonkowie Wojciech i Barbara Wojakowscy za 7000 złp. W przeszłym wieku posiadał ją w r. 1845 Konstanty Kiernicki, który ją odsprzedał 1882 r. żydom. Później nabyli te dobra Walerja z Wasilewskich Jędrzejewiczowa, Stanisław Wasilewski i Aleksandra Ludwika z Wasilewskich Wiktorowa, którzy je rozparcelowali.

Materjał ze wspomnianej Twierdzy — jak opowiada p. Piętniewicz — jej ówczesny właściciel darował ówczesnemu właścicielowi Wiśniowej pod tym warunkiem, ażeby zabrał je w jednym dniu. Jakoteż zjechało się tak wiele fur, że nie można było koni napoić i dla braku wody wiele koni zginęło, ale jednakże materjał został zwieziony i wystawiono z niego obszerny pałac w gminie Wiśniowej.

O twierdzy frysztackiej wspomina Szczęsny Morawski w dziele „Sądeczyzna" wyliczając wzdłuż dolin naszych rzek, a to wzdłuż doliny Wisłoka stare grody i zamki.

Twierdza dzieli się na wieś właściwą z nizinami i polami uprawnemi, na Łysą górę i Targowicę.

Wieś właściwa z Łysą górą jest przeważnie rolnicza, natomiast Targowica jest przemysłowa i handlowa, ponieważ tu skupiają się przeważnie sklepy i drobni kupcy, tu też znajdują się dwa tartaki, fabryka betonów i dachówek, tu skupiają się warsztaty stolarskie i szewskie.

Ludność tutejsza przechowuje stroje krakowskie, które przybiera przeważnie w święta państwowe.

Domy mieszkalne są starsze i całkiem nowe.

Stare domy są pokryte słomą, natomiast nowe dachówką lub blachą. Dom mieszkalny stary dzieli się na dwie części: po jednej stronie znajduje się kuchnia, po drugiej zaś stajnia i komora, kuchnia ma zwykle dwa okna, natomiast w stajni i komorze znajduje się tylko jedno małe okienko.

Inaczej podzielony jest dom mieszkalny nowy: Zwykle ma on dwa pokoje, kuchnię, komorę. Stajnia znajduje się na uboczu, każdy pokój i kuchnia ma po dwa okna, zaś w komorze i w stajni jest tylko jedno. Na oknach stoją doniczki z kwiatami. — W Twierdzy znajduje się stacja kolejowa Frysztak.

W Twierdzy znajduje się również szkoła powszechna 4 kl., której kierownikiem jest p. Językówna, dalej znajduje się Dom Ludowy, gdzie ma pomieszczenie Urząd gminny i koncentrują się wszystkie stowarzyszenia a to: Ochotnicza Straż Pożarna, Koło Młodzieży Ludowej, Okręgowe Towarzystwo, Rolnicze, Towarzystwo Domu Ludowego.

Do powstania Domu Ludowego przyczyniła się w dużej mierze „Polonja" amerykańska, wspomagająca finansowo Towarzystwo Domu Ludowego.

W Twierdzy są jeszcze ruiny browaru, ponieważ bardzo dawno wyrabiano tu piwo, oraz szczątki cegielni. Natomiast na górce p. Banasia widnieją do dziś stosy kamieni i cegieł poukładane z byłej fortecy obronnej.

Są też w Twierdzy dwie kapliczki przydrożne wybudowane w roku 1882 r. i trzy krzyże przydrożne.

Tadeusz Opaliński, kl. IIa.

Sprawozdanie z wycieczek.

W Tatry.

15 września wyjechała z Jasła nasza nieliczna, bo tylko 11 uczestników licząca grupa do Zakopanego. W ciągu długich ośmiu godzin podróży mieliśmy sposobność przyglądnąć się zniszczeniu, wyrządzonemu przez powódź. Do Zakopanego przyjechaliśmy wieczorem. Było nam trochę zimno, więc szybko przemaszerowaliśmy ulicą Kościuszki i Krupówkami do Domu Tow. Krajoznawczego. Przyjęto nas tu bardzo gościnnie, tem bardziej, że niektórzy koledzy zdradzali chęć hurtownego zakupienia pamiątek dla siebie i upominków dla „swoich bliskich". Jednak z powodów czysto materjalnych chęci ich pozostały chęciami. Wreszcie zmęczenie przemogło i wkrótce wszyscy pogrążyli się w sennych marzeniach.

Na drugi dzień rano pożegnaliśmy Zakopane, dążąc wytrwale ku Hali Gąsienicowej. Tutaj zakwaterowaliśmy się w starem schronisku i po sutym posiłku, już bez plecaków udaliśmy się ścieżką obok Zielonego Stawu, przez

Swinicką przełęcz na Świnicę. Po drodze mieli sposobność niektórzy z uczestników, będący pierwszy raz w górach, zapoznać się z mgłą górską. Prześladowała nas ona wciągu całego prawie dnia, zasłaniając cudowne widoki. Na szczycie Świnicy (2306 m) spotkaliśmy grupę turystów. Po dłuższym odpoczynku, który zeszedł nam na przekonywaniu naszego opiekuna i organizatora wycieczki p. Prof. Dr. Krajewskiego, że się nie boimy klamer i łańcuchów i śmiało możemy wracać przez Zawrat, udaliśmy się w drogę powrotną. Aż po Zawrat prowadziła ona Orlą Percią. Zejście po klamrach i łańcuchach. Zawratu dostarczyło nam wielu wrażeń, tembardziej, że jak wspomniałem, wielu uczestników wycieczki było w górach poraz pierwszy. Jeszcze chwilę odpoczywaliśmy nad Zmarzłym Stawem i powróciliśmy do schroniska.

Po kolacji rozdzieliła się wycieczka na dwie grnpy. Część poszła do Granitowego schroniska pisać kartki do znajomych, reszta wolała iść spać. W tej ostatniej grupie nastąpił znowu podział, bo część ulokowała się w wynajętym pokoiku, a część zakopała się w kocach na strychu.

Trzeci dzień wycieczki był dla nas bardzo „pracowity". Przez zbocza Żółtej Turni, zasypanej rumowiskami głazów, dolinę Pańszczycę i żlebem po ruchomych piargach dostaliśmy się na przełęcz Krzyżne. Widok z Krzyżnego jest jednym z najwspanialszych i najrozciąglejszych w Tatrach. W dole pod nami leżała Dolina Pięciu Stawów Polskich, zamknięta od południa grzbietami Opalonego, Miedzianego i Liptowskich Murów. Za niemi wznosiły się wyszczerbione turnie Młynarza, Żabich Szczytów, Garłucha, Wysokiej, Rysów. A trochę bardziej ku zachodowi sterczała długim, ciemnym murem grań Hrubego, zakończona stożkiem Krywania. Wszystko to chwilami tonęło w słońcu, to znowu zaciemniało się chmurami.

Syci widoków i wypoczęci zeszliśmy krętą ścieżką nad brzegiem ogromnego żlebu na skraj Buczynowej dolinki, potem trawersując pokrytemi kosówkami zboczami Koziego Wierchu schodzimy do schroniska. Raczymy się zapasami, wydobytemi z plecaków, zapijając wodą. Dwóch członków wycieczki delektuje się kwaśnem mlekiem. Potem zbiegamy obejrzeć Siklawę i stąd rozpoczęły się samotne wypady wbok od trasy naszej wycieczki amatorów kwaśnego mleka.

Wolno posuwaliśmy się przez Świstówkę i Ubocz Opalonego w kierunku Morskiego Oka. Przybyliśmy tam wieczorem, więc zaraz po kolacji udaliśmy się na spoczynek.

Zimna woda Morskiego Oka spędziła resztki snu i rzeźcy udaliśmy się do Czarnego Stawu. Nasz poprzedni plan zrobienia Rysów nie dał się wykonać z powodu „defektu" aż dwóch kolegów.

Trzeba było wracać do Zakopanego. Jeszcze kilku kolegów pośpiesznie wykąpało się w Morskiem Oku i cała grupa ruszyła szosą.

Przy wodospadach Mickiewicza nastąpił mały odpoczynek. Dobiliśmy wreszcie do Zakopanego, gdzie mieliśmy spędzić ostatnią noc. Noc ta zeszła tak szybko, że nawet nie wszyscy zdążyli przez sen opowiedzieć o swych wysokogórskich wrażeniach.

Ostatni dzień pobytu zajęła nam wycieczka do doliny Kościeliskiej. Miało tu miejsce wesołe zajście. Jeden z kolegów, amator jarzyn, wyrwał sobie kilka marchewek, rosnących na polu obok drogi. Pech chciał, że zobaczył to góral. Zaczęła się komiczna ucieczka tego kolegi, za którym biegł góral, wołając: „Oddaj jarzynę“! Winowajca wpadł w las i zobaczyliśmy go dopiero w Zakopanem.

O 11 w nocy uniósł nas pociąg z powrotem ku Jasłu, gdzie znaleźliśmy się nazajutrz o 10 rano.

Uczestnik.

Do puszczy św. Jana z Dukli.

(Sprawozdanie z wycieczki kl. Va. 20 i 21 września b. r.)

.Czwarta godzina rano. Nad mojem łóżkiem stoją wszyscy „familiares“ i tarmoszą mnie „wstawaj, Ieniu“. Cóż to wszystko znaczy?! Nic strasznego. Va jedzie na wycieczkę do Dukli. Więc prędko ubrałem się, plecak na ramię i na stację. Wszyscy uczestnicy już się zgromadzili. Wobec tego skarbnik kupił bilety i dalej już do ruszającego pociągu. W wagonie istny chór Dana, to znaczy, odchodziła „Barbara“, „Zimny drań“ i — szkoda dalej wyliczać.

Krosno! Wysiadać!

Wysypaliśmy się prędko z wagonu i rozpoczęliśmy pochód. Do Dukli „tylko“ trzy mile, a więc ładny kawałek. Od samego „startu“ prowadzenie objęła większa część klasy, chcąc być jak najprędzej u celu. Proszę jednak nie myśleć, że ta grupa, co szła na końcu z panem prof. opiekunem klasy, a w której i ja byłem, miała na celu jak my to mówimy „podlizywanie się“ Wcale nie! Poprostu nie chcieliśmy się męczyć.

Po czterech godzinach marszu dotarliśmy „śmiertelnie“ znużeni do Dukli. Tu razem z tymi, co nas wyprzedzili, założyliśmy „obóz“ i urządziliśmy 3 albo 4 śniadanie, przyczem powstawały rozśmieszające sceny, bo niektórzy koledzy mieli wspólnie wypchane plecaki. Miejsce biwaku, który się odbywał pod klasztorem OO Franciszkanów, wstyd mi mówić, ale zasłaliśmy na metr papierami.

Teraz rozpoczęliśmy ostatni etap marszu, do puszczy św. Jana, która od miasta jest oddalona o 5 km. Po drodze rozgrywały się „tragiczne“ niemal sceny. Na kilometr przed metą Julcio „Hindenburg“ usiadł na środku drogi i wyrzekł te pamiętne słowa: „Wody!... Mdleję“!... I koledzy, nie widząc innej rady, musieli go nieść. Inną grupę wiódł „Pomidor“ z mapą, kompasem i laską, co Tatry widziała Lecz co mu to wszystko pomogło, błądził razem z innymi po lesie, aż poprostu rozwścieczeni koledzy, ująwszy go za uszy, poszli na chybił trafił do puszczy. Pan Prof. zaś ze swoją asystą błądził również z pół godziny, a to dzięki zdolnościom Funia — przewodnika.

Po krótkim odpoczynku w schronisku udaliśmy się na górę Cergową. Przeszedłszy przez Jasiołkę wpław, po długiej wspinaczce znaleźliśmy się na szczycie. Przedtem jeszcze „Zdrajca“ obierając wydartego gdzieś karpiela zaciął się głęboko nożem. (Kradzione nie tuczy). Do zatamowania krwi pożyczyłem mu chusteczki, której nawiasem mówiąc dotąd mi nie oddał. Lecz mniejsza z tem. Z góry Cergowej mieliśmy piękny widok na okolicę. Widać było Duklę, jak na dłoni, Krosno również, a nawet zarysowała się wieża pałacu w Gorajowicach, naturalnie przez dobrą lornetę. Wracając pożywiliśmy się u jakiegoś stosunkowo gościnnego gospodarza. Trzeba bowiem nadmienić, że ludność tutejsza jest mało gościnna. Właściciel sześciu krów zapytany, czy ma mleko na sprzedaż, odpowiada lakonicznie „Nema“.

W czasie naszej nieobecności kilku kolegów pozostałych w schronisku nudząc się, zrobiło rewizję plecaków, ładując wszystkie lepsze rzeczy do żołądków.

Po powrocie do puszczy trzeba było się wyspać, bo już nadeszła noc. Spaliśmy w dwóch domach. Jedną izbę zajmowało 6 wygodnisiów, którzy pierwsi na miejsce przybyli a mianowicie: Lesio „K. z J.“, Kaligula, Rysio, Lopuniu, Stefcio Kapucyn i ktoś szósty. W sąsiedniej izbie nocowało 18, na strychu 10, a w naszej najmniejszej rezydencji 9. Mnie któryś z dowcipnisiów, a może wygodnisiów zabrał koc. Nie myśląc być tak uprzejmym, poszedłem do drugiego domku po latarkę i... o błogosławionyś człeku, coś mi koc zabrał!... podsłuchałem że Kaligula, Rysio i Lesio „K. z J.“ planują na nas zasadzkę. Przy pomocy latarki odnalazłem koc, poczem ułożyliśmy plan obrony.

Rzeczywiście za jakiś czas przybyli spodziewani i „bajcując“ głowy, że nam mają coś powiedzieć, nakłaniali nas do wpuszczenia. Lecz gdy to nie skutkowało, wrzucili nam kota do izdebki, z którego złapaniem i wypuszczeniem mieliśmy niemały kłopot. Koło godziny 11 usłyszeliśmy na strychu zagadkowe szmery i czyjeś kroki. Nagle w otworze w powale, do którego była przystawiona drabina, zabłysło światło i zadyndały czyjeś nogi. Wówczas wyciągnąłem drabinę, a nogi podyndawszy jeszcze chwilę znikły. Cóż się potem okazało? Oto Kaligula i koledzy namówili kucharza z puszczy, aby wlazł przez dach i otworzył drzwi. Lecz i to się nie udało. Prześladowcy nasi nie skończyli jednak na tem. Zdjęli bowiem okna, lecz i to im nie pomogło do wdarcia się wewnątrz, bo okna były opatrzone kratą. W bezsilnej złości oblali nas wodą i odeszli. Położenie więc nasze było nieszczególne. Noc była chłodna, okna zdjęte, a mieliśmy lekkie koce, a w dodatku byliśmy oblani wodą. Tak mniej więcej przeszła noc u nas.

A teraz przenieśmy się myślą do owych 6 wygodnisiów. Nastrój tam był naogół wesoły. Jeden tylko Lopuniu był cały czas zgryziony myślą, kto za niego nakręci zegar i dla rozweselenia cały czas gryzł słomę. W nocy spał w środku na dwóch zesuniętych ławach. Złośliwi koledzy idąc na wyprawę do nas rozsunęli ławy, a Lopuniu śpiący znalazł się momentalnie na podłodze pod ławami, które zpowrotem zesunięto. Biedak musiał wyłazić po ciemku, i nie ręczę, czy sobie gdzie głowy nie rozbił.

Po tej, tak „mile“ spędzonej nocy, pierwszym głosem, który usłyszeliśmy, było coś w rodzaju niewyraźnego chrapania. Słuchamy lepiej i... o Boże! toż to przecież głos Julcia „Hindenburga“, skarżący się na los. W ślad za nim ozwały się skrzeczące głosy (bo wszyscy zachrypliśmy) ze wszystkich kątów, naturalnie złorzeczące tym pomysłowym sprawcom nieszczęścia. Szybko się ubraliśmy i doprowadziliśmy naszą rezydencję do porządku. Teraz trzeba było się pożywić i znowu rozczarowanie: plecaki do połowy wypróżnione. Mleko, które dnia poprzedniego nabyliśmy, było nawpół skwaszone. Lecz trudno: „jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma“, więc tem się zadowoliliśmy. Po tym odpoczynku sfotografowawszy się i zwiedziwszy piękny kościół i klasztor wyruszyliśmy do Krosna, trasa zaś wiodła przez Miejsce Piastowe.

Znowu w skwarny dzień maszerowaliśmy, pocąc się obficie i przymierając głodem, podczas gdy kilku kolegów na zasadzie „głupi ma szczęście“ zjadło w jakiejś chałupie śniadanie tak obfite za 10 groszy, że normalnie trzebaby „wybulić ze złociaka“. Jakiś zaś gazda za ukłonienie mu się odwiózł ich do samego Krosna. Tej jedynie okoliczności zawdzięcza Julcio „Hindenburg“ szczęśliwe ukończenie drogi.

My zaś przybywszy do Miejsca Piastowego, rozłożyliśmy „obóz“ nad Jasiołką obok mostu. Był to właśnie piątek, a wszystkich nas zaopatrzono w kiełbasę. Następnie udaliśmy się na zwiedzanie zakładu wychowawczego ks. Markiewicza. Widzieliśmy tam drukarnię, ślusarnię, stolarnię, introligatornię i t. d.

Znowu zaczęliśmy ostatni etap marszu wynoszącego 7 km. Przybywszy na stację zajęliśmy wszystkie ławki. Znużenie jednak wnet przeminęło, a mając jeszcze 4 godziny czasu rozpoczęliśmy lumpowanie po mieście i stacji, tracąc ostatki pieniędzy. O ósmej przyjechaliśmy do Jasła i w towarzystwie zniecierpliwionych i zatrwożonych tatusiów i „mamusiów“ udaliśmy się do tak dawno nie widzianych domów.

Stanisław Ochałek, Va.

Z powodu braku miejsca nadesłane sprawozdanie wycieczki obu klas drugich do Krakowa, ukaże się w następnym numerze.
